

Prolog

Londyn, Anglia, 1908

Mama zawsze mówiła, że niektóre historie są jak origami – składasz je warstwa po warstwie, aż powstanie coś pięknego, ale jeśli spróbujesz je rozłożyć, zostanie tylko pognieciony papier i ślady zagięć, które już nigdy nie znikną.

Historię mojej matki znam tylko z tych zagięć. Z rzeczy, których nie powiedziała. Z momentów, gdy patrzyła przez okno i widziała nie Londyn, ale coś innego – miasto, którego nazwy wypowiedzieć nie potrafiła bez łez.

Na komodzie w salonie stoi pojedyncza fotografia. Czarno-biała, lekko pożółkła. Kobieta w kimonie patrzy gdzieś poza obiektyw. Matka mówi, że to jej przyjaciółka z dawnych lat, ale ja wiem lepiej. Wiem po sposobie, w jaki dotyka szkła, jakby dotykała twarzy. Wiem po tym, że czasem, gdy myśli, że nie patrzę, szepcze do fotografii po japońsku – słowa, których mnie nie nauczyła.

Yukiko. Tak brzmi jedno z tych słów. Imię, które nie jest imieniem. Śnieżne dziecko.

Urodziłam się w drodze. Matka często żartuje, że przyszłam do niej między jednym światem a drugim. Urodziłam się między tym, kim matka była, a tym, kim musiała się stać. Między Japonią, którą zostawiła, a Anglią, która nigdy nie stała się jej domem.

Mam oczy, których nie powinnam mieć. W Japonii – mówi matka – wszystkie dzieci mają oczy czarne jak noc. Moje są jak niebo przed burzą. Czasem, gdy matka na mnie patrzy, widzę w jej twarzy ból. Jakby moje oczy przypominały jej o kimś. O czymś. O czasie, gdy papierowe motyle próbowały latać.

Ojca długo nie znałam. Matka mówiła różne rzeczy – że umarł, że wyjechał, że był snem, który śniła w innym życiu. Że może przyjdzie czas, by go poznać. Ale czasem, gdy byłam już prawie uśpiona, opowiadała mi historię. Za każdym razem trochę inną, ale zawsze o tym samym.

O mężczyźnie, który przybył zza morza ze srebrnym pudełkiem kradnącym dusze.

O kobiecie, która tańczyła jak wiatr, ale była uwięziona jak ptak w klatce.

O nocy, gdy padał deszcz i pachniało chryzantemami.

O papierowym motylu, który spróbował latać mimo świadomości, że deszcz go zniszczy.

Nie wiem, która część jest prawdą, a która baśnią. Może w historiach mojej matki to nie ma różnicy?

Mama czasem bywa zamyślona, mówi, że za dużo londyńskiego smogu jak dla kogoś, kto urodził się pod czystym niebem Kioto. Ale ja wiem lepiej. To nie smog. To serce. Serce, które zostawiła gdzieś daleko, w mieście, gdzie gejsze tańczą dla mężczyzn, którzy nie rozumieją tańca.

Miałam sześć lat, gdy matka poprosiła mnie, żebym zapamiętała jej historię. „Pamiętaj o papierowym motylu – powiedziała. – Zapamiętaj go, zanim zapomnę, jak się lata”. Teraz, trzydzieści lat później, spisuję to, co wtedy ledwie rozumiałam... Historię Yukiko, która była Haną. Albo Hany, która musiała być Yukiko.

Matka mówi, że w Japonii jest taki słodki smutek przemijania. Że najpiękniejsze rzeczy są piękne właśnie dlatego, że nie trwają długo. Jak kwiaty wiśni. Jak młodość. Jak miłość między ludźmi, którzy pochodzą z różnych światów.

Może dlatego nigdy nie opowiedziała mi całej historii, ale ja mocno wierzę w to, że ją poznam, choć może niektóre rzeczy są piękne tylko wtedy, gdy pozostają niedopowiedziane. Jak origami – cudne, dopóki nie spróbujesz zobaczyć, jak zostało złożone.

Ale zagięcia zostają. Zawsze zostają. I z tych zagięć próbuję złożyć historię mojej matki. Historię ostatniej prawdziwej gejszy z Gion. Kobiety, która nauczyła się latać, choć miała tylko skrzydła z papieru.